

FENOMEN OJCA LEONA

Poszedł do kalsztoru, by się schować, ale Pan Bóg wyznaczył mu inną rolę – tak o ojcu Leonie Knabicie mówił prezydent

Krakowa Jacek Majchrowski 30 maja br. w Sali Obrad Rady Miasta Krakowa, podczas uroczystości wręczenia mu Lauru Krakowa XXI wieku.

Nagroda fundowana jest raz w roku, a o tym, kto ją otrzyma, decyduje kapituła, którą stanowią osoby prywatne: inicjatorka przedsięwzięcia architekt Anna Zabdyr-Jamróż oraz Joanna Cicio, Adrian Gawriłow, dr Iwona Kowalska, Beata Kupczyk, prof. Stefan Dousa, Wojciech Ogonowski, Marek Piwowarczyk, prof. T. Przemysław Szafer, prof. Jerzy Vetulani.

Tym prestiżowym wyróżnieniem, przyznawanym od 2001 roku, honorowane są osoby szczególnie zasłużone dla naszego miasta, wyjątkowo z nim związane, a ponadto skupiające wokół siebie trzy środowiska: nauki, sztuki i biznesu. Wśród nagrodzonych do tej pory Laurem Krakowa XXI wieku są: dr architekt Krystyna Styrna-Bartkiewicz, prof. Tadeusz Chrzanowski, Zbigniew Kazimierz Wittek, prof. Jerzy Wyrozumski, Jan Kanty Pawluśkiewicz oraz prof. Jerzy Stuhr.

Tegoroczny laureat pod wieloma względami jest postacią wyjątkową. Administrator parafii, rektor kościoła, duszpasterz, kapelan, preor klasztoru, redaktor czasopisma „Cenobium”, pisarz, publicysta prasowy i telewizyjny, który – choć najlepiej czuje się w powstałym blisko tysiąc lat temu opactwie Tynieckim, usytuowanym na wapiennej skale nad wiślanym brzegiem – dla wielu ludzi jest symbolem wiary pełnej radości, do której przyciąga jego niepowtarzalny uśmiech.

– To pierwszy laureat, który jest osobą duchowną – podkreślał w swym wystąpieniu prof. Jerzy Vetulani. – Razem z nim czcimy cały zakon benedyktynów.

Jak wiadomo fundamentem benedyktyńskiej wspólnoty, do której należy ojciec Leon, jest maksyma: *Ora et labora* – módl się i pracuj. *Modlitwa* – komentuje ojciec Leon w swej książce *Schody do nieba* – zwraca mnie ku Bogu, praca przypomina mi, że żyję na ziemi.

– Kiedy 10 lat temu wspólnie z redaktorem „Tygodnika Powszechnego” Arturem Sporniakiem jeździliśmy do Tyńca, by z ojcem Leonem pracować nad tą właśnie książką, chcieliśmy przełożyć fenomen ojca Leona na słowo pisane – wspominał wygłaszający laudację redaktor SIW Znak Wojciech Bonowicz. – Wówczas o czcigodnym laureacie mówiło się „Leon zawodowiec”. Na czym polega ten szczególnie profesjonalizm? Zdaniem laudatora sprawą najważniejszą jest umiejętne połączenie dwóch charyzmatów – mnicha i duszpasterza. Mnich żyje w klasztorze i szukając Boga, wyłącza się w pewnym sensie ze spraw tego świata. Duszpasterz żyje między ludźmi, szukając drogi do człowieka, by opowiedzieć mu o dobrej nowinie, którą sam uznał za drogowskaz. – W ojcu Leonie oba te charyzmaty się spotkały – mówił Wojciech Bonowicz. – Być może Pan Bóg, nie wiedząc, który

charyzmat byłby dla ojca Leona lepszy, na wszelki wypadek dał mu dwa. [...] Ojciec Leon w kategoriach zaproponowanych przez regulę jest mnichem wysłanym w drogę. Bywają miesiące, że w klasztorze częściej można go nie zastać, niż zastać. Czy to znaczy, że sprzeniewierza się regule, która łączy mnicha z konkretnym miejscem? Nie, gdyż ojciec Leon, wysłany w drogę, roznosi po świecie wartości, którymi żyje jego wspólnota. Ojciec Leon ma dar przyciągania i skupiania ludzi w różnym wieku, reprezentujących różne środowiska, nawet różne poglądy polityczne. Przez swoje słowo, a zwłaszcza sposób bycia, potrafi też tchnąć nadzieję w tych, którym jej brakuje.



O. Leon Knabit z nagrodą, którą jest rzeźba autorstwa Janusza Wątora, fundowaną raz w roku przez osoby prywatne stanowiące kapitułę



Nagrodę wręczyli Anna Zabdyr-Jamróż oraz prezydent Krakowa Jacek Majchrowski

W książce *O radości* o. Leon przypomina trzy rady, których udzielił mu przed laty jako młodemu proboszczowi wybitny benedyktyn śp. o. Piotr Roztworowski. Oto one:

1. Nie chciej naprawiać wszelkiego zła – zostaw coś opatrności bożej,
2. Nie chciej załatwić wszystkich spraw – zostaw coś swoim następcom,
3. Nie chciej uczynić ludziom nieba na ziemi, bo nie będą tęsknić za prawdziwym.

Po wysłuchaniu laudacji i odsłuchaniu sygnału Lauru Krakowa XXI wieku, skomponowanego przez Jana Kantego Pawłuskiewicza, prowadząca uroczystość Anna Zabdyr-Jamróż wspólnie z prezydentem Jackiem Majchrowskim wręczyli czcigodnemu laureatowi nagrodę, którą jest rzeźba autorstwa Janusza Wątor.

– Kiedy przyglądam się sobie, dochodzę do wniosku, że nie jestem w moim guście – żartował ojciec Leon. – Skoro jednak moja osoba i działalność jest dobrze oceniana, to nie wypada mi tego

kwestionować. Dziękując za wyróżnienie, podkreślił, że wszystko zawdzięcza wspólnocie tynieckiej. – *W takiej wspólnocie – dodał – trzeba się uprzeć, żeby być głupim.*

Na zakończenie zaznaczył: *Jestem siódmym laureatem tej nagrody, a w Piśmie Świętym siódemka to liczba doskonała. Oby zatem się to spełniło i obym, dążąc do doskonałości, jeszcze lepiej pełnił swoją służbę.*

Rita Pagacz-Moczarska

Ojciec Leon Knabit ukończył Wyższe Seminarium Duchowne w Siedlcach. Święcenia kapłańskie przyjął 27 grudnia 1953 roku. Do klasztoru w Tyńcu wstąpił 16 lipca 1958 roku. W 2003 roku obchodził jubileusz 50-lecia kapłaństwa. Jest autorem książek: *Schody do nieba, Spotkania z Wujkiem Karolem, Od początku do końca, Dywan dobrej nowiny, Ojca Leona różowe okulary, Być ludźmi, Bóg oszalał z miłości, Być wielkim jak dziecko.*

KRAKÓW – MÓJ CZY NIE MÓJ?

Po raz pierwszy odwiedziłem królewskie miasto w czerwcu 1947 roku z wycieczką szkolną. Pozostało dalekie wspomnienie: bardzo wiele jaskrawego światła w mieście, na ulicach i placach mroczne wnętrza kościoła Mariackiego. Dopiero gdy oczy się przyzwyczaiły do zmiany oświetlenia, można było podziwiać detale. Miasto znane tylko z fotografii, z podręczników historii i geografii. Co krok coś nowego, a jednocześnie starego, przecież skądś znajomego. A noclegi w schronisku młodzieżowym przy ul. Wenecja. Wielką atrakcją i przeżyciem były Tatry, a w drodze powrotnej – Wieliczka. Potem zobaczyłem Kraków w historycznym momencie, w dniach pogrzebu księcia kardynała Adama Stefana Sapiehy. Znane jest powiedzenie, że Kraków żyje pogrzebami. Ten pogrzeb był chyba jednym z największych. Kraków i Sapieha, to były dwie rzeczywistości związane ze sobą nierozzerwalnie. Wielkie rzesze ludzi – w dotychczasowym życiu tak wielkiego zgromadzenia jeszcze nie widziałem – nastrój pełen skupienia, żalu, ale nie rozpacz. Głębokie tony dzwonu Zygmunta, żałobne śpiewy duchowieństwa i wiernych oraz moc kwiatów, rzucanych nawet z okien krakowskich kamienic przed trumnę podczas żałobnego pochodu. I w tym wszystkim – postać nie-krakowianina prymasa Wyszyńskiego. Postać podczas tych uroczystości centralna. Jego kazanie, kiedy to czuło się, że tu tworzy się historia: *Składamy dzisiaj do wawelskich gumien dojrzały snop pszenicznego ziarna... Kapłani krakowscy, coście w Nim miłowali?*

Już jako mnich uczestniczyłem, po wielu latach, w pogrzebie księdza arcybiskupa Baziaka. Wiem, że wielkim był pogrzeb generała Sikorskiego, ale takiego pogrzebu jak sapieżyński chyba długo w Krakowie nie będzie.

Po spędzeniu Świąt Bożego Narodzenia w roku 1951 w Opactwie Tynieckim, zatrzymałem się znów na krótko w Krakowie. Odszukałem gdzieś notatki robione na gorąco. Przytaczam je prawie bez retuszu, by dać świadectwo, jak odbierał Kraków

i Wawel, to miejsce jedyne w Polsce i jedyne na świecie, 22-letni wówczas prowincjonalny kleryk z Podlasia: *Wawel, wruszenie mnie ogarnia, gdy wstępuję od bramy północnej. Znów tutaj, w sercu Polski. W ponurym mglisto-deszczowym dniu błyszczą złotem dach Zyguntowskiej kaplicy. Taka radość – tu jest Polska. Nad bramą prowadzącą do dziedzińca napis: Si Deus nobiscum quis contra nos? Oto dewiza Polaków. Ze wzruszeniem rozglądam się po dziedzińcu, który oglądał tyłu królów, tyle chwil dobrych i złych. Dzisiaj toczą się tu prace nad badaniem początków państwa polskiego. Ziemia w wielu miejscach głęboko zryta. Komunikat głosi o odkryciach z okresu paleolitycznego starszego (mniej więcej sprzed 100 000 lat). Kupuję kilka pocztówek i z drżeniem serca kieruję się do pomieszczeń, w których znajduje się wystawa ołtarza Wita Stwosza. Wrażenia nawet nie próbuję opisać. Piękne, gustowne sale, dyskretne światło elektryczne, posadzka z szarozielonawego marmuru i... rzeźby,*

całe królestwo rzeźb. Grupa naczelna przytacza wyrazistością i ogromem. Przed oczami staje cała historia życia Zbawiciela widziana umysłowością XV wieku. Przedstawienie takie proste, że często naiwne, a jakie realistyczne, wruszające. Do scen, których się nie zapomina, należą: 12-letni Jezus w świątyni, pojmowanie Pana Jezusa i zstąpienie Zbawiciela do otchłani, zwłaszcza wspaniałe postacie szatanów. Ale dosyć! Teraz pora do Katedry. Boczne nawy i kaplice toną w mrokach. Kieruję się do Gospodarza i proszę Go, by duchowo wstąpił we mnie, pokrzepił, wzmocnił.



O. Leon Knabit

Jesus Christus heri, hodie et in saecula. Dusza wstrzymuje oddech ze szczęścia, gdy zaglądam w marmurową twarz śpiącego Łokietka, gdy stoję w zadumie przed sarkofagiem Sobieskiego, gdy przed krucyfiksem Jadwigi mówię „En ego...”. Gdzieś w bocznej kaplicy ktoś odmawia brewiarz: Domine Deus virtutum, converte nos... Idę dalej: Vladislaus, rex Poloniae, Hungariae et... i wchodzę do prezbiterium. Wspaniały wielki ołtarz, tron arcybiskupi, na którym tak niedawno zasiadał mały niepokazny Pasterz... A dzisiaj? Przed konfesją św. Stanisława na marmurowej płycie kwiaty, choina, wieńce i biało-czerwona szarfa spięta lilijką: Wielkiemu Przyjacielowi – Harcerze... Zdrowaś Maryjo.

Potem śpiewam świętemu Stanisławowi Vir inclite..., by za chwilę popatrzeć z zachwytem na marmurowy posąg Jadwigi i pomodlić się o jej beatyfikację. Jeszcze kilka kroków – Jagiello. I powoli trzeba wychodzić. Odwiedzam kościoły Franciszkanów, Dominikanów. Mariacki. Wszystkie one mają niezatarty urok. W każdym żłóbek – piękne rozmaite pomysły. W kościele Franciszkanów leżał kardynał Sapieha. Teraz tu cicho. U Dominikanów dużo ludzi i nagrobek gen. Skrzyneckiego. Wreszcie wspaniały kościół Mariacki z obrazem Matki Boskiej z Loreto, przed którym modlił się Sobieski przed wyprawą wiedeńską, i z cudownym krucyfiksem. Cała historia chodzi razem ze mną. Kupuję pocztówki, zdjęcia Kardynała (kilka nawet dostaję w prezencie od sprzedawczyni sprzed Franciszkanów. „A jak będzie blisko prymicja, to proszę przyjść – dam na obrazki”. Wspominając dzisiaj ten fakt, nie mogę go pogodzić z cierpkimi uwagami o krakowskich centusjach. A może ta kobieta była charakterem bliższa krakowskich kwiciarek?). Powoli wracam na Bernardyńską, gdzie się zatrzymałem w Seminarium Częstochowskim...

Nie przypuszczałem wtedy, że Wawel będzie kiedyś „moim” Wawelem. Przebywając w Tyńcu, a więc obecnie już w Krakowie, przez ponad czterdzieści lat, doświadczałem na sobie siły więzi między tymi dwoma wzgórzami nad Wisłą. Nawet ukształtowanie kościoła, budynków i dziedzińców jest podobne. Oczywiście, wzgórze wawelskie jest o wiele większe. Warto tu zwrócić uwagę na pewną ciekawostkę. Wisła łącząca oba miejsca płynie pod Opactwem z południa na północ, pod Wawelem zaś – z północy na południe. Łagodne meandry królowej polskich rzek szukającej drogi wśród wąpialnych wzgórz wpłynęły na taki właśnie kierunek koryta.

Lubię tak prywatnie wpaść na Wawel, jak do siebie, gdzie odwiedza się znajome kąty i nie wstydzi wzruszenia, sięgającego początkami wczesnej młodości. Cieszyłem się zawsze, gdy mogłem tam być z młodzieżą czy z dziećmi, które przy okazji radowały się podwawelskim smokiem z paszczą zięjącą prawdziwym ogniem. A w ilu uroczystych nabożeństwach brałem udział. Często z parafią tyniecką, nieraz z jakąś inną, jak choćby z parafią świętej dzisiaj królowej Jadwigi. Nie można było się doprosić o pozwolenie na budowę kościoła na Krowodrzy, więc parafianie od czasu do czasu przychodzili na Wawel do swej Patronki, prosząc o wstawiennictwo. Kiedyś w kazaniu do tej wspólnoty, wygłoszonym właśnie na Wawelu, zapewniałem, że będą się kiedyś modlili w swoim kościele. I wreszcie się po latach doczekali. Więcej, doczekali się też radosnej chwili, gdy na drugi dzień po kanonizacji królowej Jadwigi na Błoniach odwiedził ich wspólnotę, w tym właśnie kościele, sam Ojciec Święty. Historia uporczywych starań wiernych o nowe kościoły w latach 1950–1978 to też ważna część historii Krakowa. Przychodziliśmy też na Wawel ze współbraćmi, w najpełniejszym zaś liturgicznym wyrazie 17 maja 1980 roku, obchodząc tam uroczyste, pod przewodnictwem krakowskiego metropolity, księdza kardynała Franciszka Macharskiego, 1500-lecie urodzin świętego Benedykta.

Poza tym wszystkim jednak, Wawel dla mnie to Wojtyła. I Kraków zresztą, to Wojtyła. Książe metropolita Sapieha, przez dziesiątki lat z podwawelskim grodem związany, wyświęcił na kapłana 1 listopada 1946 roku człowieka, którego nie tylko krakowianie, ale i świat cały będzie zawsze łączył z Krakowem. Najpierw wikariusz u św. Floriana, potem profesor i mieszkaniec ulicy Kanoniczej, gdzie obecnie mieści się muzeum Jemu poświęcone, i wreszcie Wujek Karol, jak Go bliscy nazywali – zasiada na stolicy biskupiej św. Stanisława. Przy wielkiej aprobacie i nadzwyczaj serdecznej przychylności wszystkich Krakowian i nie tylko. Z katedry wawelskiej, która była tak trochę muzealnym zabytkiem, uczynił metropolita krakowski miejsce spotkania całej archidiecezji z Bogiem, miejsce, będące nie tylko obiektem zabytkowym tłumnie nawiedzanym przez wycieczki (a jakie nieraz zachowanie młodszych i starszych!), ale tętniące życiem religijnym. Ileż uroczystości, podczas których uczestnicy czuli się serdecznie przygarnięci przez Gospodarza. A ileż odwiedzin u Arcypasterza Krakowa w Jego domu przy ulicy Franciszkańskiej! Można powiedzieć, że przez okrągły rok wciąż się tam coś działo. Od przedstawień dzieci z przedszkola po sympozja i sesje naukowe na europejskim poziomie. Goście świeccy i duchowni, krajowi i zagraniczni, wszyscy ujęci osobowością kardynała Wojtyły zarówno przy herbacie, jak i na sali konferencyjnej, a szczególnie w kaplicy. Kiedyś grupa profesorów wyższych uczelni – ten rodzaj zwykle dewocyjnością nie grzeszy – brała udział we mszy św., którą ksiądz kardynał odprawiał za duszę ich zmarłego kolegi. Opowiadał potem o Bernard Turowicz, wybitny matematyk i członek PAN-u, który też tam był, że wychodzili wszyscy przejęci, jak On tę mszę św. odprawiał. A odprawiał zwyczajnie, bez żadnej afektacji. Widziałem to podczas dość częstego z Nim koncelebrowania. Co jednak znaczyło u kardynała Wojtyły zwyczajnie, to dobrze wiemy.

Ale nie tylko Wawel i dom przy ulicy Franciszkańskiej. Można powiedzieć, że Kraków był pełen swego biskupa. To pełen zresztą dzisiaj oznacza co innego. Dzisiejszy metropolita jest i w sali posiedzeń Rady Miejskiej, i w szkole, i w szpitalu, i w więzieniu, i na dworcu kolejowym podczas wigilii dla bezdomnych, i na Rynku krakowskim przy święceniu pokarmów, i we wszelkich możliwych miejscach. W minionym okresie było to niemożliwe. Był jednak we wszystkich chyba kościołach Krakowa i na wszystkich placach budowy kościołów, co było wtedy niełatwym zadaniem, i wszędzie przemawiał, i wszędzie rozmawiał z ludźmi, a bardzo wielu znał osobiście. Był rzeczywiście nasz, krakowski. Był i jest nieodłączną częścią Krakowa, miasta, w którym, jak powiedział potem już jako Papież, każda cegła i każdy kamień są Mu drogim. Jako Papież zresztą mógł dopiero spełnić swe marzenie, by na Rynku odprawić mszę świętą. Z bólem mówił, że nawet jamniki miały prawo do parady na Rynku krakowskim, a dla Chrystusa Eucharystycznego, zwłaszcza w dniu Bożego Ciała, wstęp był zabroniony. Pamiętny 13 sierpnia 1991 roku, gdy dawny krakowski robotnik ogłaszał na krakowskim Rynku błogosławioną krakowską służącą, Anielę Salawę, a oboje przecież, choć w różnych czasach, ten Rynek często przemierzali, to jeden z bardziej znamienitych dni w historii królewskiego miasta.

A dzisiaj ten Rynek widział już następcę Jana Pawła II – Benedykta XVI...

O. Leon Knabit OSB